



Biuletyn Otrycki

23

GOŚCIE

Jeden po drugim Goście wciąż
nadchodzą z różnych stron
Wielu z otwartym sercem
z pękniętym małym kłosem

I nie wie nikt
dokąd noc prowadzi
i po co im
płynnie wino z kadzi
Ja chcę kochać, kochać
kochać, kochać, ach
chcę kochać dziś

Ci, którzy tańczą, nużę tańczyć
Ci, którzy płaczą, żkać
- Witajcie wszyscy - woła Głos
Do środka proszę was

I wchodzą potykając się
Samotni, pełni smutku
I mówią: odeszła twarz!
Lub - Czemuż mnie opuściła?

W blasku pochodni wielkie drzwi
otwarły się na oścież
Jeden po drugim wchodzą więc
targani namiętnością

I biesiadują spiesząc się
bo pałac znika już
Jeden po drugim wrócą przez
ten ogrodowy mur

Ci, którzy tańczą nużę tańczyć
Ci, którzy płaczą żkać
A ci, którzy zbłądzili
znów błądzą, jeszcze raz

Jeden po drugim Goście wciąż
nadchodzą z różnych stron
Wielu z otwartym sercem
z pękniętym małym kłosem

/Leonard Cohen/

Jesienny, listopadowy wieczór. Na dworz płucha i wiatr, a my siedzimy w przytulnej i ciepłej zoliborskiej izbie. Ktoś gra na gitarze, wiele dłoni ogrzewają szklanki z gorącym brzoskwińowym sokiem. Płomienie świec wydobywają z mroku zakatarzone nosy i urywki wrześnieowych wspomnień.

Gosia -

- pamiętacie, jak spadła z tarasu, zupełnie na trzeźwo?

Justyna -

- a jak wszyscy byli chorzy i Artur robił za lekarza, wykwalifikowaną pielęgniarkę i administrację służby zdrowia?

Łukasz -

- a szkolenie bhp, gdy leśniczy powiedział, że szanse na przeżycie są raczej żadne.

Dominika B. -

- ja dostałam cios w głowę od samego leśniczego. Do tej pory cenię sobie tego guza.

Karol Karol -

- nie mogłem zdecydować się, czy chcę żeby mnie przygniótł pień,

czy żeby rozszarpały gałęzie. Miotakem się w roztorce pod walącą się iwą. No, chyba rozumiecie - chciałem mieć najlepsze ujęcie.

Ewa -

- dopiero kilka miłych i spokojnych słów wypowiedzianych przez pilarza sprawiło, że w ogóle odszedłeś i nie zostałeś objęty okorowywaniem.

Dominika B. -

- a jak latarka wpadła mi do kibla i ku wielkiej radości wszystkich świeciła kilka godzin. To był niezły widok i nie moja latarka.

Waldek -

- pamiętacie, jak Gośka poszła wieczorem na spacer. Po powrocie była dosyć zadowolona i zmarznięta, zupełnie odwrotnie niż my wszyscy siedzący przy kominku i czekający na nią od kilku godzin.

- Dominika D. -

- kto właściwie założył Klub Depresiaków?

Łukasz -

- chyba Heniasty.

Kaśka -

- my Twardziele przerobiliśmy was szybko na Mękie Batony.

Dominika B. -

- męki baton tylko liczy się.

Mario -

- ja jestem grzeczny chłopiec i się nie skarżę, ale jak ten głupi latałem co drugi dzień po mleko, którego zresztą i tak nie piję.

Dominika B. -

- teraz mogę się przyznać - któregoś dnia na obiad jako sałatkę podałam siekane pokrzywy z zęcinami rzodkiewek. Trudno, przepraszam.

Dominika B. -

No tak, ale mówimy o szczegółach, ale jak było na początku? Przypominam sobie to pierwsze spotkanie, które zupełnie nie zapowiadało tego co będzie później. Byliśmy przerażeni, patrzyliśmy wilkiem na drugiego. Dodatkowo peszył nas pan, który przyszedł, usiadł na stole i powiedział, że ma na imię Przemek, i że będzie zastępcą kierowniczką naszego obozu. Jakiego obozu - pomyślałam sobie wtedy. To ma być obóz czy praktyki studencko-robotnicze? W pociągu było już trochę lepiej, nie boczyliśmy się na siebie, bo nie było dokąd uciekać. Szukaliśmy pierwszych tematów do rozmów, wspominaliśmy egzaminy, marzyliśmy o górach. Trudno się było spodziewać, że Otryt tak wpłynie na nas, wrośnie w nasze serca, stanie się drugim domem, miejscem, do którego wracając zmęczone myśli i do którego przyjeżdżało by się chętnie, jak najczęściej.

Przemek -

- ja też pamiętam to pierwsze spotkanie, ale z mojej strony wyglądało to trochę inaczej. 30 sierpnia wpoł do trzeciej wpadłem do Klubu. - Jest Iza? - Nie, jeszcze nie przyjechała. No tak, to pięknie, jestem zżalotwiony, oni zaraz przyjdą, coś im trzeba będzie powiedzieć. Za 10 trzecia jest pierwszy. To był chyba Karol Karol. Spytał ile spodni trzeba ze sobą zabrać. Cholera, skąd ja mam to wiedzieć? Spokojnie, już wiem, już coś mu tłumaczę. Jest pierwsza panna. Wyglądam na korytarz, ale ich się dużo zrobiło. Henryk dzwonił, będzie czakł w Instytucie. Rzeczywiście, nie ma sensu tu zostać, przecież i tak wszyscy się nie zmieszczą.

No tak, ale gdzie ja ich posadzę? Klucza od wykładowej pewnie nie dadzą. Na szczęście 304 jest wolna. Usiedli. Ile ich jest? 10-12 osób. Zdejmuję płaszcz i próbuję żartować, że jeszcze nigdy nie siedziałem po tej drugiej stronie. W ogóle zachowują się jak świeżo upieczony belfer na pierwszej lekcji. Staram się na nich nie patrzeć. Muszę im w końcu coś powiedzieć! Coś marudzę o idei praktyk, o obozach integracyjnych, o Chacie i mętnych programach naukowych. Jak zbawienia czekam na otwarciu drzwi, w któ-

rych stanie Iza albo Henryk. No, nareszcie jest pani pełnomocnik. Coś tam tłumaczy, uff... mogą odetchnąć i wreszcie im się przyjrzeć. Tak, wydawaliście mi się wtedy tacy...

Dominika D. -

- jacy? Lepiej nie mów. A w ogóle to na początku było nudno, później zresztą też. Padało wiele, wiele dni. Zamkniętych w Chacie na bezludziu ogarniała z wolna rozpacz i zwątpienie. Co rano z utęsknieniem i nadzieją wypatrywali promieni słońca, które zmieniłyby ich ponurą i bezsensowną egzystencję w pełne mocy i intensywności życie. Los jednak był nieubłagany i pchał ich wszystkich z dziwnym uporem ku katastrofie. Początkowo nieświadomych swego przeznaczenia podtrzymywała nadzieja, z wolna jednak przechodziła o na w tragiczną świadomość końca. Reakcje uwięzionych były różne. Przeważały postawy ucieczkowe. Zamknięci i sfrustrowani próbowali kompensować swoją beznadziejną sytuację w "życiu" aż do bólu pełnym i mocnym. Jedni uciekali w szaleńcze upojenie trunkami, które pozwalały im później w mistycznych wizjach odnaleźć własną tożsamość i to piękno, którego nie znajdowali w koło. Inni, z determinacją rzucali się w odmęty namiętności, miłość ich czasem tak niewyszukana i wyuzdana boszyła w sobie pierwiastki absolutu, któremu na imię zmysłowość. Tak jak z twoim Kubusiem Alku.

Alek -

- z jakim Kubusiem, a z tym...

KUBUŚ SZUKA DROGI DO ABSOLUTU

przeczesuję włosy
tulę wąskie czoło
próbuję sięgnąć Absolutu - nie wychodzi
jest wiele rzeczy, które wyrrywają z transcendentu
krótkie spódniczki dziewcząt
zamglone spojrzenia dziewcząt
ciepłe policzki dziewcząt
libido
mówią o mnie niezaspokojony - to prawda
potrzebuję Uczucia i Wiedzy
a w książkach tyle pięknych wzorów - tylko sięgnąć
zen juradiwi i Bernard z Clairvaux
spokój zawieszenie pojednanie z Bogiem
jednym słowem stan doskonałości - a ja
rozdrabnam się w przelotnych pocałunkach
wyrzekam siebie i uciekam niepotrzebny
i nie wiem co robię nie tak
może lepiej gdyby mnie wykastrowali
jednym cięciem zabiłbym w sobie Szatana
dwukreślnym c sięgnąłbym szczytu Absolutu
lecz czy naprawdę nie można żyć normalnie
tak po prostu zrozumieć co się kryje
w tych spojrzeniach spod przykniętych powiek
i zamieszkać w kuszącym Absolutcie
wspólnych śniadań obiadów i kolacji

Dominika D. -

- to dalej znowu ja... Częstą reakcją na nędzę i brud rzeczywistości było uwznioślenie jej i podniesienie do rangi symbolu, który próbowali przybliżyć innym na gruncie sztuki. Czynili to albo przez długie dysputy filozoficzno-moralne, które jednak przerażały się w monologi, albo przez muzykę. Była ona dla nich wszystkim, transcendentálną oazą, czymś co pozwalał tak różnym jednostkom spotkać się wspólnie w całej nagości i dosłowności istnienia. Muzyka ta ujawniła ich światu proroka, który miał wkrótce objawić prawdę zmieniającą ich dotychczasową egzystencję. Był Nim jeden z nich, który od początku wyróżniał się zdecydowanie większą wrażliwością, zdolnością sublimacji w odbiorze rzeczywistości. Jemu to zostało dane poznać prawdę.

Pewnego razu, gdy jak inni odpoczywał po przeżyciach dnia, coś kazało mu wstać z posłania i wyjść w noc. Cały drżący ze strachu i podniecenia, przeświadczony o doniosłości chwili, poddał się nakazowi pracemu go do... No właśnie dokąd? Początkowe zaskoczenie i zdziwienie wybrańca bogów, że to miejsce objawione to wychodek, przerodziło się w zrozumienie misji, dla której ważna jest treść posłania, a niewiele ważny jest entourage. Przeznaczenie kazało mu wejść, usiąść i wśród wichrów i skomleń psów zacząć grać. Dźwięki, które popłynęły wstrząsnęły nim do głębi, poczuł całą metafizykę istnienia zamkniętych w Chacie. Zrozumiał oczyszczający cel trudów, które miały prowadzić ku zbawieniu zamkniętych. Tak, teraz rozumiał to z całą ostrością i wyrazistością, a właściwie słyszał. Ta garstka ludzi naznaczonych szczególną rozpaczą i zwątpieniem miała przyoblec się w szaty profetów odpowiedzialnych za dalsze losy świata... Wielkość odkrycia przytłoczyła go najpierw całkowicie, wkrótce jednak zebrał wszystkie siły aby ~~wstać~~ wstać i ruszyć ku Domowi. Na niebie pojawiły się pierwsze, oczekiwane od tak wielu dni promienie słońca... O ludzkości! Przyjmij prawdę głoszoną przez proroków wiary i pokory.

Waldek -

- o to, to, to, prawie Melancholia i Dotyk.

Wyblakłe,

Krzyczą gazety w ulicznym uchu,

Wiatr nimi pomiata

On też, ze starej mównicy,

W głuchocie miasta cienie rozproszył

Kapłani zapomnieli białe szaty Szczepana

I kamienie

Ludzie pojednali się.

Bloki, które budują nie mają pieter,

Sufitów ani podłóg,

Oprócz tej jednej.

W takim bloku jest uczta.

Obywatele, a są wśród nich i znawcy,

Zaprosili poetów.

- "Poeci uwierzcie, że dzień
w którym słońce przyszło na ziemię
i dzień kiedy wykradziono dla nas ogień
zapomniano między ludźmi".

Układano wiersze, pajaki plotły pajęczynę,

W którą nieraz złapać by się mogła

Kudźlata głowa wieszczka. Okna skrzypiały rytmicznie, przeciągle.

Strome ściany gniotły mój wzrok.

I jeśli by podnieść oczy można by je całe dostrzec.

Chłodno było więc rozpalono ognisko.

Kamil leżał na liściach przykrytych derką,

Adam stąpał po piasku, tam i z powrotem, ~~adkama~~

Syn Arystona podkładał drwa do ognia.

Układano wiersze, ktoś wiódł ironię

I zapewne mówili ciekawie,

Tylko ja nic nie czułem.

I z tego, a może z powodu dymu,

Który nie chciał uchościć w górę, tylko między nami

Majaczył, przytuliłem się do ściany

I zamknąłem oczy.

Starzec chodził w cieniu i bił po twarzach

A oczy zmieniały spojrzenie - a tych co spali

Targał za włosy, ale tak, że nie bólu, ale

Siebie baliśmy się.

Zbyszek -

- jak dorosnę, to ja to może zrozumieć, Bo...eee, nie warto mówić - macha ręką, ale po chwili mówi dalej -

ROZDROŻE

Boisz się samotności
i mokrej szyby
i liści czarnych na ścianie
Światło wpada przez szklane igły
drżenie rąk... a rozpieszczony sen
dalej nie przychodzi
teraz już zbędny wzrok
zaciskasz palce w pięść
krzyczysz bez obecności ust
ściana opada w dół, oddala się
przebierasz po niej palcami czując chłód
wbijasz ziarna farby między paznokcie...
i jeszcze raz to samo:
noc i dzień... dzień i noc... życie?

Alek -

- chrzanicie, ludzie co wy wiecie o życiu -

GALILEUSZ

za każdym razem gdy to robię tracę część wiary
prowadzę się na obrotowy fotel
siadam
wygodnie
rozpinają mi kołnierzyk żeby nie ubrudzić
naprzeciw mnie siedzi człowiek - stuprocentowy
duplikat mego ciała Krawat i paznokcie
na dany znak obcinają mi włosy
wstrzykują do oczu gryzącą ciecz
brzytwa idzie w ruch niebezpiecznie blisko szyi
po policzkach: raz dwa raz dwa
czuję się jak anioł w cieniu podejrzenia
kiedy już wcisną mnie w swoje normy i wynogi
garnitur przedziałek i co tam jeszcze trzeba
nie wieszają mnie głową w dół. Przeciwnie -
stają na własnych nogach robię dwa kroki w przód
sięgam do kieszeni
wyciągam banknoty
podaję
fryzjerowi
wychodzę na ulicę
jestem czysty i uniewinniony
jak dobrze - mogę zacząć od nowa

Przez chwilę wszyscy siedzą w milczeniu. Waldek w kącie mówi coś do siebie tak jakby się modlił.

Waldek -

Czyż Panie uczynił człowiekowi,
że Cię wyгнаł każdy co chciał
- nie poznawszy pierwej

Czyżes w pierw znoje i udręki,
potem raj otworzył?

Panie, dzięki...

Czyżes w pierw siebie unieśmiertelnił
a potem w grobie złożył?

dzięki żeś spełnił

czyżes wpiersw od sznura Judasza, nie uchroniż
a potem modliż w ogrodzie?

x

Człowieku,
poza żąę ileś nad człowiekiem nie-uroniż?

Justyna -

- po co w ogóle coś mówić?

CISZA

Cisza oplata me uszy miękkim szalem
wytchnienia

Rozpływa się wokół
Nagle, jednym skokiem
dopada moich myśli
i ciągnie je za język
Protestuję głośno, że ktoś się obudził
z rozkoszy nieistnienia
i zadaje ból poznania
A cisza uśmiechnięta smutno
chroni się w kąciuku
dając się im wykrzyzczyć

Kaśka -

- ja wam mogę okrzyzczyć, a nawet zaśpiewać
W stodole, na dole, na grochowisku
całował dziewczynę, dostał po pysku
A widzisz chamie, jak panna bije,
nie umiesz całować, nie żap za szyję
/oklaski/

Kaśka wychodzi na środek, kłania się, staje na baczność i
zaczyna

Spotkałam go na szlaku do Żagórza, w przedziale opowiadał mi,
że całe życie był pechowcem i całe życie jego los był zły. Chcia-
łam pomóc temu człowiekowi by przełamać jego passę złą i nieopatrz-
nie powiedziałam - Jeśli chcesz to ze mną chodź do chaty otryc-
kiej, gdzie nie ma wolnej miłości, ale są stosunki wachtowe oraz
akty nierządne, te ostatnie już prawie zaginęły bo panowie zamie-
nili się w misie - własności lał co mamy chcą, gdy się dotykać
je próbuje, chociaż czasem chce im się robić to, co zakazane.
Czego zawsze, zawsze było mało. Wypływają te ciężoty na imprezach
lub na imieninach Izy Raider, w której rękaw wypłakać się możesz
jak człowiek, kiedy ona cię kochać przestanie

Iza -

- a, a, no, właśnie, imieniny, moje imieniny. Przemku, kiedy wresz-
cie dasz mi moje życzenia?

Przemek -

- mogę ci je teraz powtórzyć:

Więc wnieśmy kielichy
I pijmy z przejęciem jej zdrowie
sto lat niechaj żyje
nam Iza kierownik
Niech wino nie męci jej
w głowie
Jak matka, jak ojciec
Jak piastun, piastunka
opiekę nad nami roztacza
dlatego też dzisiaj ulżyjmy
jej troskom
wszak wiemy - nielekka to praca.
Sto lat i raz jeszcze
sto i piętnaście
w spokoju niech nami steruje

choć okręt pijany
choć w koło bałwany
wypijmy ponownie jej zdrowie.

Kaśka -

- Iza ponoć zbudowała sobie dom bez strychów i bez piwnic. Z tymi piwnicami to jednak jest różnie. Szczerze mówiąc przydałoby się w Chacie piwniczka głównie dla przechowywania rubinowego, greckiego wina, które burzy krew. No bo przecież nikt nie odmówi jeżeli jest co wypić to wypijemy, jeszcze pożyjemy, a jeżeli zdarzyłoby się nieszczęście to w grób położcie mi karabin i klingę ukochanej szabli. Liczymy jednak na to, że horyżka moja myża może nam jedynie jak nostalgia wykrzywić gębę /dla znajomych ryj/, chociaż jak pić to do końca, potem odpoczniesz, potem odpoczniesz, - cudne manowce, możesz leżąc w trawie wypatrywać gwiazd ciekawie bądź ta trawa przychylna każdemu powiezie cię z dołu w górę na połoniny na niebieskie lub do Bielicznej, ale tam nawet mety nie ma, bo od dawna nikt tam nie mieszka, no może z wyjątkiem poziomki czy Malinki, która może tam sobie śpiewać razem z Hanną Banaszak. Śpiewanie jest zresztą jednym, obok picia, z ulubionych zajęć Otrytczyków. Na przykład taki Prezes, z którym czystość zachować to gorzej, który - mówiąc między nami - dzięki temu Prezesem został, zresztą nie tylko Prezesem, ale i przedmiotem wzdychań młodych panien pięknych. Jednakże spokojnie, Prezes, moja mażka, nie da ci tej nocy, choć i tak nie mówi nic, a zabawa trwa /choć dla jednej to on zagrażby na każdej gitarze świata/. Jednak ziemia to ziarno naprawdę niewielkie, a już ziarenkiem piasku jest Chata Otrycka, w której ludzie wierzą w każdą miłość nocy i dnia, chociaż za oknem sprawy przedstawiają się w barwach ciemniejszych. Na przykład kryminalna historia kaloszy, które do dziś nosi Marucha po gościu od Eli, którego zarznął nożem sprężynowym Zbyszek. Wyżej wymieniony gość przebywa obecnie na połoninach na niebieskich, gdzie również żyje się dość wygodnie i czasem każdemu w porywach miłosnych cierpień wydaje się, że tam żyje się lepiej. Jednakże lepiej, żeby każdy przeżył to sam i nie zamieniał serca w twardy głaz. Do was mówię, Dominiki, oni naprawdę nie mogą wam wiele dać, pomijając to, że nie są warci jednej żyzy. Szczęśliwą w tym całym rozgardiaszu jest Gosia, której Robert posyła już chyba tylko puste koperty. Nie zapomnijcie, żeby Ewka nie płakała bo tu miejsca brak na twe babskie żyzy, drzewo, woda w kuchni, wachta męska wśród której chory na wyobraźnię i zachmytata oraz Waldek, którego nagiego ciała bardzo bym chciał. Jak zwykle wspiera ich niespokojny duch kierownika, z którym można tylko zejść do Lutowisk i poprzepijać wszystko. Bo nawet Przemek, jeśli proszą, to wspólnie wypije, może jeszcze trochę pożyje, a jeśli nie to w grób położcie mu karabin i klingę ukochanej szabli. Możliwe, że nie tylko szabla jest jego ukochaną, ale przecież jako trzeci do Gośki pchał się nie będzie bo ona i tak powinna iść spać, zamknąć oczy - kwiatki dwa, a na dobranoc buzi zero. Zero, ponieważ mężczyźni z krwi i kości wyginęli, nawet prawdziwych Heniastych już nie ma. Zostaje jeszcze kilku panów, ale należą oni do stowarzyszenia męskich batonów i kobietom to oni nigdy nie wierzą. Łukasz to wierzy już tylko w odrodzenie się dobrej muzyki za pomocą zespołu Modern Talking. Może tylko Piotr jest szczęśliwy, bo czasem widać go z żoną, tą najlepszą z dam, którą go nie ~~opuści~~ opuści i już sam to on nie będzie. Ale tak na ogół, świat toczy się leniwie mimo, że czasem ktoś rockendrollowym gitarzystom ich wino wypije, to gdy Józek tańczy to tańczy z nim cały świat. A kiedy rano opadają mgły i Chata ze snu się budzi widać tych, którzy ruszają dalej, poprzez światłocienie modrzewi przy drodze, wciąż dalej przed siebie nie mogąc nikogo dla siebie odnaleźć. Ty, Zbyszku już chyba w znalazłeś?

Zbyszek -

- ale jeszcze w marcu było inaczej.

23.03.1988

Rozłożyłem sumienie na szklanym obrazie
na kartce wspomnień

swoich wczorajszych przygód
/To co stało się jest prawdziwe do końca/

Twoje ciało jest dla mnie świątynią
wzniesioną moimi własnymi rękami

buduję... a zarazem niszczę wszystko

Czy o tym myślałem,

czy w to wierzyłam śniąc o piersiach dziewcząt

Szukam... a ty mówisz że przebaczasz.

Więc jeszcze raz poddaję się

czekając sam nie wiem na co...

Jutro wszystko upadnie...

choć może zaczniemy jeszcze raz.

Dziś tylko twoje ciało - to mi wystarcza

i tylko to mnie jeszcze zmienia...

jest dobrze... ale kiedy jutro obudzisz mnie

powiedz mi że już jest inaczej.

Justyna -

BAJKA

Przyleć do mnie

na skrzydłach z włosów Selene

zaplecionych przez pająki-gwiazdy

Delikatny jak muśnięcie ust

zabierz mnie do krainy miłości

Może tam znajdę okruchy szczęścia

rozsiane wśród słów kochających

i ułożę z nich

swoją bajkę

śniącą nie o królewiczu i królewnie

ale o nas

na tyle młodych żeby

kochać życie

Dominika B. -

- a propos bajki. Pamiętam jak weszliśmy do Chaty, poczułam się jak w domu pustelnika czy jakiegoś innego zaklętego stworzenia z gór. Poczuliśmy się od razu związani ze sobą, cudowna atmosfera roztopiała w nas obcość i nieufność - wspólne robienie kolacji, chodzenie po wszystkich zakamarkach i tajemniczych miejscach, które miały stać się naszym domem przez najbliższe trzy tygodnie. Na początku jeszcze zżerał nas miejski stres. Przez kilka dni przyzwyczajaliśmy się do zwolnionego trybu życia, innego rytmu, braku ścisłego rozdziału między pracą i odpoczynkiem. Każdy człowiek może niekiedy dostać bzika, jeżeli nie to niech żałuje. Zje go rzeczywistość, bo nie będzie nigdy umiał się od niej oderwać. A na Otrycie rozwijają się osobowości, oryginalności, wariacje ludzkich dusz.

Ze zdziwieniem zycząliśmy poznawać siebie w jednoczesnej ciszy gór i zgiełku Chaty, wypełzało z każdego coś, co w mieście było głęboko schowane. W tej atmosferze, w czasie długich wieczornych rozmów sondowaliśmy swoje wnętrza. Wręcz fantastyczne były wieczorne spory o miłości, przyjaźni, ludzkiej wrażliwości i romantyzmie.

Wszyscy wymownie spojrzeli na Waldka.

Waldek -

Księżyc nie oddał oddechu bez siebie,

Ujawnił, potem więził parę cieni,
Pięszczętą nieodważną w niebie,
Damę drewnianą.

Pociął liniami pod strzechą szomianą
Otchłan dzikich oddechów i dwa szepty,
Co w woni siana szukały przestrzeni
- I pocałunek.

O, zamkniętych warg wizerunek
niejeden pod powiekami się mieni;
Oczy nie patrzą, by nie widziały, co
dusza czuć może.

Wstęgi ciepła bez toku, w kolorze
Dotyku nów doszły żdźbła - - czułość chwili.
Na zewnątrz ~~wnętrza~~ -- pamiętam -- obłąkany wiatr...
Nie wrócisz...!

Alek -

- mocne, ale - kurde - ja tego nie rozumiem. Posłuchaj lepiej tego,

YESTERDAY

powiedz mi jak to będzie kiedy nas połączą
kiedy będziesz musiała prać moją bieliznę
ja się przyzwyczaję do ~~twoich~~ twoich obiadów
kupimy telewizor i dwie lampki nocne
i będę się wściekał że nie zawsze możesz

posiwieją nam głowy w dymie papierosów
miłość wsiąknie w dywan razem z każdą z ~~leż~~
potem będziemy starzy jak sprzęty domowe
będą nas przestawiać w tę albo z powrotem

modłę się jednak o to byśmy póki młodzi
zapomnieli kiedyś zapłacić za światło
wyjdziemy z pierwszą gwiazdą na kolację ~~we~~ dwoje
będziemy się trzymali za ręce pod stołem
i świat się nam zakręci a za nim nasze głowy

późną nocą wrócimy do naszego domu
telewizor będzie chrapał niepotrzebny w kącie
zapalimy świecę i przy świecy jak teraz
zanurzymy się w pościeli i w sobie

Alek skończył i znowu nikt nie chce podjąć rozgaw. Duża Do-
minika zawsze wrażliwa na zbyt długie milczenie stara się ponow-
nie rozbudzić towarzystwo.

Dominika B. -

- spójrzcie jak fantastycznie roztopiły się świece. Zupełnie jak
na Otrycie, gdzie wszystko jest nastrojowe: płonący ogień w komin-
ku, szumiąca woda w ujęciu...

Przemek -

- z tym ujęciem to chyba rzeczywiście coś jest. Kiedy któregoś
dnia staliśmy jako ostatni w "sztachecie do ujęcia" jak to Iza-
ięknie określiła, wymyśliłem taki tekścik:

TRZY RÓŻE

Trzy róże dzisiaj chcę Ci dać
Racz przyjąć je w podziękę
Trzy róże, które pozwoliłaś mi śnić
Trzy kładę Ci na ręce
Ta pierwsza to jest Róża-Bóg
Którą Ci wyśpiewałem
Ta druga to jest Róża-Ból
Ta, którą Ty mi dałaś

Tej trzeciej dawno nie ma już
Odeszła wraz z płomieniem
Dlatego przyjmij dzisiaj wszystkie trzy
Przestają być Twym cieniem
 Bez pierwszej nigdy nic nie trwałoby
 Bez drugiej nie kończyło
 A trzeciej dawno nie ma już
 A może jej nie było

Dominika B. -

- na Otrycie nawet droga do kibla usłana jest gwiazdami. Ale to oczywiście zależy od punktu widzenia. Może być dużo godzej - błoto do kolan, z góry leje deszcz, a po bokach biją mokre pokrzywy. Zwykle w takich momentach droga nie dość, że ciernista to jeszcze pod górę. Atrakcją jest ciężki plecak pełen chleba i łatwo tłukących się jajek. No bo przecież nie jest tam tak wcale przyjemnie. Nie ma elektryczności, ciepłej wody, łazienki z prysznicem i kafelkami. Właściwie wcale nie jest tam dobrze - wszędzie daleko, na Tajwanie potworne błoto i wiatr, i ciągle, ciągle pod górę tylko kamienie i połamane gałęzie...

Iza -

-- przecież to właśnie jest tam najpiękniejsze. Bo dlaczego jest tak, że najtrudniej jest schodzić gdy się już jedzie do domu z perspektywą swego ciepłego łóżka i tej wanny pełnej gorącej wody?

Dominika B. -

- to tak jak w wierszu Kawińskiego

DWA ŚWIATY

1

Ciemne
jak ślopa klatka umarłego
drzwi otworzyłeś:
a tam
zielone łany
trawy po kolana
strumień przezczysty
niebo jak mżący łagodnie błękit
ciężko
nieznane leżące obok drzewa

2

jasne
niczym dłoń dziecka
okno zamknąłeś:
a tutaj
brudny dywan
książki w nieładzie
rozwiązujące się po ścianach znaczenia
i poszarzała śmierć na kolanach

Alek -

- nie ma nic prócz smutku -

uczucie rozpływa się
i przechodzi w nienawiść

Zbyszek -

KSZTAŁT

Mg

Nie mówię już nic - nie warto
bo świat się przetoczył przeze mnie

XXXXXXXXXX

i oczy mi zabrał i życia kawałek.
Walczyłem, broniłem... upadłem;

bez końca - zniewolenie.
Świętości nie ma - nie wierzę,
miłości też... czasami.

xxx

Powietrza nabieram już więcej
bo umiem - zabijać to... sobą

Przemek -

- nie ~~wakaxxkxkx~~ warto, Zbyszku. Nawet jeżeli ktoś bliski cię uderzył tak mocno, że na chwilę straciłeś równowagę. Nawet jeżeli znalazłeś się w tej pustce, którą powstaje przed zamkniętymi drzwiami. Gdy można tylko przez chwilę niepowinnie przestępować z nogi na nogę a potem odwrócić się i odejść. Nawet wtedy nie warto... Trzeba tylko uważać żeby nie odejść w inną pustkę.

A czasem można mieć cholerne szczęście i spotkać nowych ludzi. Na przykład taką zwariowaną dziewiętnastką. Ludzi, którzy zaproszą cię do wspólnego stołu i rozmowy. Będą mówić, mówić, tak dużo mówić i zabijać w tobie tę ciszę. Zresztą nie wszyscy, niektórzy będą tylko milczeć i obserwować, ale będą z tobą. Wyciągną się do ciebie ręce, czasem z butelką piwa, kawałkiem ciasta lub swojej samotności. I nawet nie będziesz miał czasu aby być świadkiem tych żenujących scen gdy twoja nadzieja zdradza cię ze snem. Radości czy pełni smutku, szczęśliwi czy rozpaczeni. Zaczynasz z nimi żyć i oni zaczną żyć w tobie. Powoli zagoją się rany, powoli wypełni się pustka... dlatego, Zbyszku, nie warto.

A tak, przy okazji, chciałem wam podziękować. To prawda, że chwilami można było przy was zwariować, ale to był świr uzdrawiający. Daliście mi więcej niż mogłem przyjąć.

Kaśka -

- zagrajcie mi jakąś pieśń bo naprawdę oszaleję.

Alek -

PECHOWIEC

Spotkałem go na szlaku Athabaski
Przy gonisku opowiadał mi
Że całe życie był pechowcem
Że całe życie jego los był zły
Chciałem pomóc temu człowiekowi
By przeżłamać jego passę złą
I niepotrzebnie powiedziałem
Jeśli chcesz to ze mną chodź
Ale on nie żali się
Chociaż wie, że zawsze jest źle
Optymistą trzeba być powiada
I nawet jeśli źle trzeba mówić ~~zezx~~
W porządku, w porządku
W porządku jest

Kiedyś w pociągu nawet nie wiem dokąd
Fatalnego pecha miał
Bo zapalił swoją fajkę
Potem długo długo spał
I włożył zapaloną fajkę do kieszeni
I rzeczywiście pecha miał
Bo ta kiezeń była moja
Lecz widocznie los tak chciał

Kiedyś chciałem zapoznać go z Lucy
Dawniej miałem nawet wziąć z nią ślub
Moja śliczna była narzeczona
Chętnie wzięła gości pod dach swój
I chyba od mojego przyjaciela
Fatalnym pechem zaraziłem się
Nie było jego ani Lucy w domu
Gdy nad ranem obudziłem się

Ale ja nie żalę się
Chociaż wiem że zawsze jest źle
Optymistą trzeba być powiadam
I nawet jeśli źle trzeba mówić że
W porządku, w porządku
W porządku jest**

Wystygł już sok brzoskwiniowy, koninek dogasał, powoli zbieraliśmy się do wyjścia. Zbyszek już w drzwiach cicho dodał

Zbyszek -
Wychodząc z raju - zapomniałem po co
Wchodząc w mrok - zapomniałem.... dlaczego

Przemek -
- no i co, to koniec?

Iza -
- szkoda...

Przychodzimy odchodzimy
Leciuteńko na paluszkach,
Szczotkujemy, wycieramy
Buty nasze, twarze nasze
Żeby śladu nie zostawić
Żeby śladu nie zostało

Miasta nasze, domy nasze
Na uwięzi się kołyszą
Tuż nad ziemią, ledwo, ledwo
Jak wiatr mały to nie widać

A jak wielki wiatr się zdarzy
Wielka bieda pójdą cumy
Zachybocą się gatańczę
Miasta nasze, domy nasze
I polecą w stratosferę

Przygarbieni w pustym polu
Bez oparcia bez eszony
Bez niteczki choćby coby
Przytwierdzaka nas do ziemi

Wiatr nas porwie i poniesie
Za koźnierze podniesione
Porozrzuca gdzieś w przestrzeni

Nam to nic poczekamy
Aż się skończy, aż ucichnie
Powstaniemy otrzepiemy
Rączki nasze, klapy nasze
Żeby śladu nie zostawić

Od początku zbudujemy
Miasta nasze, domy nasze
Sprzęty nasze, lampy nasze
Żaby wiatr miał czym kołysać***

Dominika B. -

- poczekajcie jeszcze chwilę, przecież na koniec musi być właśnie to
"I poszli trzymając się za ręce. I dokądkolwiek pójdą i cokolwiek
im się zdarzy po drodze /.../ będą zawsze bawić się wesoło w tym
Zaczarowanym Miejscu Na Skraju Lasu"****

* Wszystkie te wydarzenia spieśża Dominika B.
** Wiersz W. Kawińskiego
*** Wiersz J. Jęczyka
**** Fragment "Chatki Puchatka" A.A. Milne'a.

Dziękujemy wszystkim, którzy zechcieli na piśmie wrócić pamięcią do tegorocznej zerówki jak i tym, którzy zdecydowali się na szerszą prezentację fragmentów swojej twórczości. Przepraszamy wszystkich autorów za dokonano skróty i zmiany w ich tekstach i za to, że nie mogliśmy zastosować się do wszystkich ich wskazówek i prośb. Wynikało to z przyjętej przez nas ogólnej koncepcji tego specjalnego numeru B.O. Specjalne podziękowania kierujemy do red. nacz. B.O., której pomoc jak zwykle okazała się absolutnie nieoceniona.

Dominika Brukalska
Izabella Gutowska
Przemysław Szydłak

Moi mili,
jak widzicie, 23 nr Biuletynu Otryckiego jest inny. Nasi młodzi skorzystali z propozycji i zapełnili sobą poprzednie strony. Dziękując im za to bardzo składam następną ofertę: publikujcie się w B.O. nadal, przynosząc do mnie swoje teksty małe i większe, Biuletyn czeka i ja też. 23 B.O. miał być monotematyczny - "zerówkowy", postanowiłam jednak popełnić jedno odstępstwo: poniżej publikuję kolejny - drugi - odcinek kryminału otryckiego. Kto zabił??? Dlaczego??? Oto pytania, które teraz najczęściej pojawiają się w lokalu Klubu. Autorka nie obiecuje Wam już, tu i teraz rozwiązania zagadki ponurej zbrodni, ale ciąg dalszy przed Wami.

Bogna

P.S. Proszę wszystkich o pomoc w zdobyciu specjalnego korektora, którym poprawia się błędy popełnione na matrycach kolodionowych.

B.

ORIGINAL CRIME STORY III
NEARLY ONE MILLION COPIES SOLD IN WARSAW ALONE!
NOWY REWELACYJNY TYTUŁ!!!

ARIANE O'HENG

"Zbrodnia w wysokich górach"

tyt. oryginału: "A Crime in the High Mountains."

tłum. z angielskiego: Kici Koci

Błąd: Uprzejmie przepraszamy P.T. Czytelników za błąd, jaki wkraść się do poprzedniego odcinka powieści. Zamiast imienia "Alexis" wydrukowano mylnie "Alexa". Otóż po konsultacjach okazało się, że młoda Włoszka od domieszce krwi cypryjskiej żadną miarą nie może nosić imienia Alexa. Zainteresowane osoby serdecznie przepraszamy.

- Mariol! Nie dotykaj niczego? Niczego nie wolno ruszać! - Al przeciskał się przez coraz liczniejszą grupę gości, która już zdążyła zebrać się w korytarzu. - Bardzo proszę, by nikt niczego nie dotykał. - Przepuszczo go i po chwili stał przy drzwiach do spiżarni. Powoli, z namaszczeniem zdjął z głowy swe eleganckie, szare borsalino i pochylił się nad leżącym na ziemi ciałem. Przez dłuższy moment w skupieniu wpatrywał się w twarz zmarłego. Dotknął jego ręki, czoła... Potem westchnął ciężko i nie wiadomo kogo zapytał - Co się stało? Kto to zrobił? Mike? Komu się mogłeś narazić? - Po chwili wyprostował się i spojrzał na zastygłe w przerażeniu twarze wczesowiczów.

- Z pobieżnych oględzin wynika, że nie żyje od jakichś dwóch godzin - powiedział - dostał prosto w serce. Znam ten cios. U nas, we Frisco co drugiego umarlaka znajdowaliśmy załatwionego w ten sposób. Tak... A zwłaszcza w Chinatown. Tam zdarzało się to co-

dziennie.-

Nagle oczy zwęziły mu się i badawczo spojrzął na zebranych. -Kto? Kto z was to zrobił? - spytał - Może ty? - położył rękę na ramieniu stojącego obok Dr Georgea.

- Odczep się, Al, ode mnie - zachnął się Georg i szarpnął dom tyłu. - No...., a w takim razie może pan, generale McArthur? - Al nie tracił nic ze swego chłodnego spokoju.

- No wie pan!!! Jak pan śmieie! Wypraszam sobie! Jestem emerytowanym wojskowym i nie pozwolę szargać honoru oficera. Żądam przeproszenia. - Gen. Arthur McArthur poczerwieniał z oburzenia i zaczął szukać ręką po kieszeniach swej sportowej kurtki.

- Siedź pan cicho - szepnął Al i wpiął się wzrokiem w stojącego obok generała, Felipe. Był matador przyjeżdżał do schorniska od bardzo dawna. Jak głosiła plotka, jego świetnie zapowiadająca się kariera urwała się nagle przed ponad 7 laty, gdy pewnego marcowego dnia o świcie kompletnie pijany znalazł się na arenie stadionu i ze zdziwieniem ujrzał w odległości kilku metrów od siebie ogromnego, czarnego buhaja. Co warto zaznaczyć, byk patrzył na niego z nie mniejszym i poniekąd usprawiedliwionym zdumieniem. Felipe z kieliszkiem i na pół opróżnioną butelką w ręku tworzył bowiem malowniczą kompozycję. Jego czarne, wizytowe spodnie o wciąż nieskazitelnie zaprasowanych kantach, dziwnie kontrastowały z kusym damskim płaszczem koloru świeżej marchewki i fantazyjnie dookoła szyi zawiązanym jedwabnym szalem. Płaszcz pożyczyła mu życzliwa kelnerka z baru "Los Toros Negros", gdy opuszczając o drugiej nad ranem lokal zapowiedział spacer do odległego o 10 km Tetuan de las Victorias. Szalik o pięknym, głębokim odcieniu południowego nieba zdobył w jakimś następnym barze. Zapewne ofiarował mu go ktoś z krzykliwego, rozbawionego tłumu na Puerto del Sol. Matador znany był szeroko ze swego niezrównanego poczucia humoru, ale tym razem, rzecz można, nieco go ono zawiodło. Nagle oprzytomniały rzucił się do ucieczki, co, zdaje się, wywołało jakieś nieprzyjemne wspomnienia u jego przeciwnika. Byk ruszył za nim ciężko, lecz z dużą prędkością i dogonił zanim matador dopadł do ogrodzenia. Od tego czasu Felipe czuł wyraźną niechęć zarówno do marchewki jak i do wołowiny.

Al zrobił krok do przodu, gdy wtem wyraz jego twarzy zmienił się i zaciekawiony spojrzął na Hiszpana.

- Felipe, co ty tutaj masz za siniak?-

- Gdzie? Tu? - nie speszył się zapytany. - Nie wiesz, Al? Byk mnie kopnął.

- A, tak... Byk.- uśmiechnął się Al - Byk par excellence. Byczunio... Słuchaj, no... a gdzie jest Jacques? Znajdź mi go zaraz. Niech przyjdzie tu z aparatem. Trzeba zrobić... Dalsze słowa utonęły w gwałtownie narastającym, groźnym pomruku. Brzmiało to tak, jakby cała eskadra samolotów nadlatywała nad schronisko od wchodniej strony.

- Manewry wojskowe....? Tu...? - zdążył pomyśleć generał McArthur, gdy wtem pomruk przeszedł w potężny, głuchy huk. Szyby w drzwiach zadrżały i wydały piękny dzwoniący dźwięk. Łoskot nie ustawał, teraz wydawało się, że tuż za ścianą przebiega w oszalałym galopie tabun dzikich koni, tratując świat swymi potężnymi kopytami. Właściwie była to prawda, choć to nie stado rumaków pędziło górkim wąwozem. Cicho i majestatycznie ruszyła w dół lawina, której tak obawiał się Mariom Z każdą sekundą nabierała siły i prędkości, aż stała się białym rozszałakłym żywiołem, niczym nie wstrzymaną kipiela. Toczyła się w dół grzmiąca i skłębiona, porywając ze sobą to, co stało na jej drodze.

Szyby zadzwoniły raz jeszcze głośno i rozpaczliwie, aż nagle wszystko ucichło. Mogło się здаwać, że nic nie zmąciło tego pięknego, zimowego dnia. Do sali kominkowej wpadały promienie słońca, tworząc na podłodze równoległe, jasne pasma, oświetlając w powietrzu drobinki kurzu. Zrobiło się jakoś tak spokojnie i niemal przyjemnie.

Alexis pomyślała, że wcale się nie boi i natychmiast zaczerwieniła się po same uszy, bo wydało jej się, że w ciszy, jaka zapanowała po przejściu lawiny wszyscy usłyszeć mogą jej myśli. Pierwszy przerwał milczenie Dr Georg.

- Nikt chyba nie wybierał się dziś w góry - rozejrzał się pytająco po twarzach, dziwnie zamyślonych i jakby nieobecnych. - Tym na nartach nie powinno stać się nic złego. Lawina zeszła od wschodniej strony, miejmy nadzieję, że nikt nie zapuścił się tam. Mario, kto jeździ dziś na nartach? - Mario bezradnie ruszył głową. Codziennie ktoś zapowiadał, że wybiera się na narty, potem rezygnował, szedł na spacer, rzucał śnieżkami do celu albo beczynnie patrzył w ogień na kominku.

- Trudno powiedzieć, na pewno jeździ Frau Dorothes, Andreas Ilitsch i Jane. Co do reszty nie jestem pewien.-

- Jest tam jeszcze Marc Smith i Andy. Przynajmniej byli, gdy odłączyłem się od nich. Biedny Michael zjechał też z nami może ze dwa razy, ale potem zaczął skarżyć się na ból w kolanie i wrócił do schorniska. To było gdzieś koło dziewiątej trzydzięci. Pamiętam dobrze, bo kilka minut później Frau Dorothea stłukła sobie zegarek przy upadku i wtedy odruchowo spojrziałem na swój...

W tym momencie coś miękkiego upadło na podłogę nieopodal wejścia do kuchni. Jacques blady i drżący stał przez kilkanaście ostatnich obfitujących w wydarzenia minut w kącie korytarza. Przez nikogo nie zauważony i sam niewiele widząc, usiłował zapanować nad rozdrgotanymi nerwami. W głowie kołatała mu uporczywa myśl: "Ktoś zabił Mike'a! Kto go zabił? Dlaczego nie zabił mnie?" Huk spadającej lawiny, obraz Michaela leżącego w spiżarni wśród swojsko wyglądających półki słoniny, pot kiełbas, sznurków suszonych grzybów. I jeszcze ten słoik, stłuczony słoik z zielonym groszkiem tuż koło głowy Mike'a. Zielony groszek zaczął mu wirować przed oczyma i Jacques, którego twarz nabrała niemal identycznej barwy, osunął się na podłogę.

- Mamma mia! - jęknął Marco Piccolo i z wrażeń wypuścił z objęć podtrzymywaną w dalszym ciągu Dominique. Ta, zdezorientowana zamachała trzepotliwie rękoma i z cichym pufnięciem potoczyła się na ziemię obok Jacquesa. Przywróciło mu to na chwilę przytomność, ale w jego ciemnych oczach odmalowało się tylko przerażenie.

- To nie ja - szepnął - przysięgam, że to nie ja.- i zemdlął ponownie.

- Dziwne - pomyślał Al - o czym on mówi? - Jacques był młodym człowiekiem o ascetycznej budowie i melancholijnych, głęboko osadzonych oczach. Z zawodu fotograf, właściciel małego atelier na przedmieściu Genewy, całym dniami wykonywał setki identycznych małych zdjęć, takich jakie ludzie wklejają zwykle do paszportów, legitymacji i Bóg wie gdzie jeszcze. Szarzyzna i nuda tej pracy rodziły w nim głęboką frustrację, która po latach zaowocowała ciężkim zamknięciem nerwowym. Jacques musiał kilkakrotnie poddawać się leczeniu zamkniętemu. Również tego roku, tuż przed świętami, spędził kilka tygodni w klinice. Wyszedł z niej dość szybko dzięki wysiłkom i pomocy opiekującego się nim psychologa Bell Gutman. Bell była naprawdę wybitnym specjalistą, a pacjentom poświęcała cały swój czas, doświadczenie i serce.

- Bell, trzeba zabrać stąd Jacquesa do pokoju - głos Ala brzmiał

- niezwykle stanowczo - Postaraj się doprowadzić go do porządku, ja za jakiś czas przyjdę z nim porozmawiać. Aha, i nie zostawiaj go do tego czasu samego, O.K.? Niestety, będę musiał przesłuchać was wszystkich.- Chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy wtem drzwi do kuchni otworzyły się i wyszła stamtąd starszka - mała i pokurczona, w zielonej chuście na głowie i z całkiem zgrabną, srebrną laseczką w ręku. Torując sobie nią przejście wśród zebranych przekuśtykała przez cały hall i na chwilę zatrzymała się przy wejściu do spiżarni. - Ano, doigraliście się - zaskrzeczała - A mówiłam, ostrzegałam... Nikt nie chciał mnie słuchać. Tak, tak, macie za

swoje...- I podreptała dalej.

Spoglądali po sobie z dość głupimi minami.

- Na Boga, a któż to taki?- krzyknął Jerry Fracklin, gdy drzwi frontowe z trzaskiem zamknęły się za nią.

- A taka... płacze się tu czasami...- burknął niechętnie Mario - Znowu ją licho przyniosło...

X X X

Powolutku zebrani w sieni goście zaczęli rozchodzić się do swych zajęć. Dr Georg i Marco Piccolo poprzedzani przez zatroskaną Bell wnieśli zemdlonego Jacquesa do "dziewiątki". Mario udał się do swego mieszkania, aby za pomocą krótkofalówki zawiadomić o zaszłych wypadkach posterunek żandarmerii w Bad-Luttdorf. Prof. von Sydlack i Dominique doszli do wniosku, że wprawdzie ostatnie wydarzenia mrozą krew w żyłach, ale nie ma żadnego powodu, by rezygnować z lunchu. Co postanowiwszy podążyli do kuchni przygotowywać mocno spóźniony posiłek.

Chwilę potem na ganku kuchennym rozległo się głośnie tupanie i do środka weszło kilka osób w kolorowych narciarskich kombinezonach. Nie sprawiali wrażenia bardzo przerażonych lawiną, choć już od progu dopytywali się, "czy aby coś się komuś nie stało?". Prof. von Sydlack, który zawsze, nawet w najtrudniejszych okolicznościach umiał zachować godność i powagę, podszedł do nowoprzybyłych i zaczął im coś cicho tłumaczyć. Al myślał właśnie, że nie chciałby obwieszczać nikomu tak smutnej nowiny, gdy nagle niezwykle wysoki mleczna czekoladka, rzuciła się do drzwi spiżarni i z rozpaczliwym jękiem padła na ziemię. Zrywając z siebie rękawiczki, czapkę, szalik i co tam jeszcze miała, wiała się po podłodze i krzyczała żałośnie.

- Ciekawe, czy to żałobne zawołanie to tylko pozostałość ~~z~~ plemiennej tradycji, czy też Jane Milina rzeczywiście była złączona z Mike m jakimiś silniejszymi więzami? - zastanawiał się Al idąc na górę, by porozmawiać z Jacquesem. - Trzeba będzie to potem zbadać. - Nie doszedł jeszcze do połowy stopni, gdy przy końcu korytarza, mniej więcej tam, gdzie znajdowała się zajmowana przez Jacquesa "dziewiątka" padł strzał. Al rzucił się pędem w tamtą stronę. Drzwi do pokoju ustąpiły bez trudu. Jacques leżał na brzegu szerokiego, wygodnego tapczanum łożko przykryte było kocem w wesołych, zdecydowanych kolorach, w głowach leżały dwie miękkie, haftowane poduszki. Wszystko utrzymane było w żywej, czerwonej tonacji i Al nie odniósł wrażenia dysonansu spostrzegłszy cienką strużkę purpurowej cieczy spływającej na koc spod głowy Jacquesa.

- Czyżby to on zabił Mike'a? - zdziwił się - nie wyglądał na takiego!

Czyjeś szybkie kroki rozległy się na schodach i skrzypiącej podłodze piętra. W otwartych drzwiach pokoju ukazał się Mario zdyszany, pobladły i jakby wystraszony.

- Al... słuchaj - zaczął rwącym się głosem, z trudem łapiąc oddech.

- Al... jesteśmy odcięci... krótkofalówka...nie działa...zepsuta!!!

C.d.n.